

364  
364

BIBLIOTECZKA MŁODEGO CZYTELNIKA

PRZEKŁADY Z LITERATUR OBCYCH  
6

ANTONI CZECHOW

KOŃSKIE NAZWISKO  
I INNE OPOWIADANIA



· C Z Y T E L N I K ·

BIBLIOTECZKA MŁODEGO CZYTELNIKA

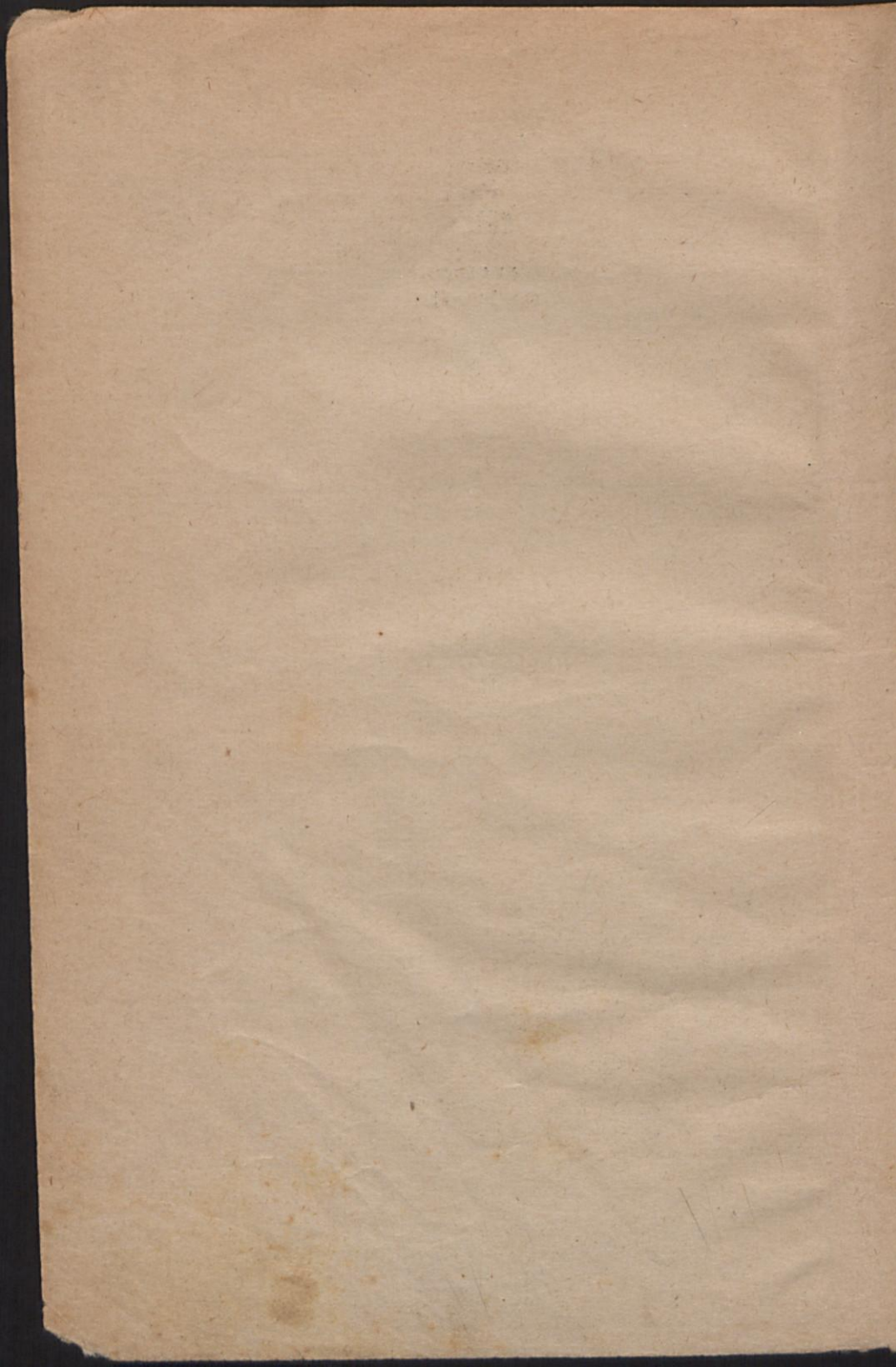


364



ANTONI CZECHOW  
OPOWIADANIA

Szanuj książkę,  
nie zalamuj kartek



3150  
23/50  
2.10

BIBLIOTECZKA MŁODEGO CZYTELNIKA  
PRZEKŁADY Z LITERATUR OBCYCH

---

5

ANTONI CZECHOW

# KOŃSKIE NAZWISKO

I INNE OPOWIADANIA



1 9 5 0

» C Z Y T E L N I K «

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OSWIATOWA

PRZEŁOŻYLI

RADOŚĆ—Zofia Peters  
KOŃSKIE NAZWISKO—Adam Ostoja  
CHŁOPCY, BEZBRONNA ISTOTA—A. W.

Biblioteka Publiczna  
Miejskiej Rady Narodowej  
w Zamościu

Nr. 364

821.161.1-3

Uze,  
Kon

✓  
los.

Księgozbiór BP



10016558

Zamość ul. Pereca 14  
Biblioteka Publiczna

Wszelkie prawa zastrzeżone / All rights reserved  
Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik”, Warszawa  
Printed in Poland

Składano i tłoczono w Drukarni Nr 5 Sp. Wyd. Ośw. „Czytelnik”, w Warszawie  
Zamówienie Nr 79. Papier druk. sat. 61×86 Ukończono druk dnia 18.II. 1950 r.  
Nakład 10.400 egz.

B-1.94.110

# K O Ń S K I E   N A Z W I S K O

Szanuj książkę,  
nie zalamuj kartek

**E**MERYTOWANEGO generała-majora Bułdiejewa rozboleły zęby. Płukał usta wódką, koniakiem, przykładał do bolącego zęba sok z tytoniu, opium, terpentynę i naftę. Smarował szczękę jodyną, w uszach miał watę zmoczoną w spirytusie, ale wszystko to albo nie pomagało, albo wywoływało mdłości. Przyjechał doktor, podłubał w zębie i przepisał chininę, ale to również nie pomogło. Propozycję wyrwania bolącego zęba generał odrzucił.

Wszyscy domownicy, żona, dzieci, służba, nawet kuchcik Piet'ka, każdy proponował swoje lekarstwo na ból zębów. Między innymi ekonom\* Bułdiejewa, Iwan Jewsiejewicz, przyszedł do generała i poradził zamawianie.

— Tutaj w naszym powiecie, wasza ekscelencjo— powiedział — z dziesięć lat temu pracował urzędnik

\* Ekonom — nadzorca robotników w wielkich majątkach ziemskich carskiej Rosji.

akcyzy\*, Jakub Wasiljicz. Zamawiał zęby pierwszo-rzędnie i ból jak ręką odjął! Siłę taką miał...

— Gdzież on jest teraz?

— Po zwolnieniu go z akcyzy zamieszkał u teściowej w Saratowie. Teraz tylko z tych zębów żyje. Jeśli jakiegoś człowieka zaboli ząb, idzie do niego, a on pomaga... Tamtejszych ludzi saratowskich leczy na miejscu, a jeśli ktoś jest z innego miasta — telegraficznie. Niech wasza ekscelencja wyśle do niego depezę, że, znaczy, tak a tak: sługę bożego Aleksieja zęby bołą, proszę poradzić. A pieniądze za leczenie można przesłać pocztą.

— Bzdury! Szarlataneria!

— A wasza ekscelencja niech spróbuje! To wielki amator wódki, nie żyje z żoną. Klnie jak szewc, ale można powiedzieć — czarodziej!

— Wyślij, Alosza — zaczęła błagać generałowa — ty nie wierzysz w zamawiania, a ja sama na sobie doświadczyłam. Wprawdzie nie wierzysz, ale czemu nie wysłać? Przecież nic złego z tego nie wyniknie.

— No, dobrze — zgodził się Bułdiejew — posłałbym depezę nie tylko do urzędnika akcyzy, ale do samego diabła! Och! Sił mi brak! Więc gdzie twój czarodziej mieszka? Jak do niego adresować?

\* Akcyza — urząd w Rosji carskiej zajmujący się ściąganiem poatków od takich towarów jak cukier, herbata, zapalki i t. d.

Generał usiadł przy biurku i wziął pióro do ręki.

— W Saratowie każdy pies go zna — powiedział ekonom — proszę łaskawie pisać, wasza ekscelencjo... Do miasta Saratowa... znaczy... do wielmożnego pana Jakuba Wasiljicza... Wasiljicza...

— No?

— Wasiljicza... Jakuba Wasiljicza... a nazwisko? A nazwisko jakoś zapomniałem! Wasiljiczowi... do licha, jakże mu było? Kiedy szedłem tutaj, jeszcze pamiętałem... Zaraz sobie przypomnę.

Iwan Jewsiejewicz spojrział w sufit i poruszył ustami. Buldziejew i generałowa czekali z niecierpliwością

— Więc jak? Myśl prędeej!

— Zaraz... Do Wasiljicza... Do Jakuba Wasiljicza... Zapomniałem! Takie nawet zwyczajne nazwisko... jakby końskie... Kobyłko? Nie, nie Kobyłko. Proszę zaczekać... Żrebakowski może? Nie, i nie Żrebakowski. Pamiętam, że nazwisko było końskie, ale jakie — zupełnie mi z głowy wyleciało.

— Żrebakiewicz?

— Nie... Proszę zaczekać... Ogierowicz... Ogierski... Kobyliński... Kobylatnicki...

— To już psie, a nie końskie... Żrebacki?

— Nie, i nie Żrebacki... Koński... Koniewski... Kobyliński... Kobylatnicki... Wszystko nie to!

— Więc jakżeż ja do niego napiszę? Pomyśl sam!

— Zaraz... Konikowski... Kobyłecki... Cugowy...

— Cugowicz — odpowiedziała generałowa.

— Nie, proszę jaśnie pani. Nie... to też nie! Zapomniałem!

— Po cóż, do diabła, pchasz się z radami? — rozłościł się generał. — Wynoś mi się stąd!

Iwan Jewsiejewicz wyszedł ociągając się, a generał schwyił się za policzek i zaczął biegać po pokojach.

— Och, ojczy — krzyczał — och, matko moja! Świata bożego nie widzę!

Ekonom poszedł do ogrodu i podniósłszy oczy do nieba zaczął przypominać sobie nazwisko urzędnika akcyzowego.

— Żrebiatkowski... Żrebuszewski... Żrebianko... Nie, nie to! Rumakowski... Gniadosz... Ogierowski... Kobylak...

W chwilę później zawołali go do państwa.

— Przypomniałeś sobie? — zapytał generał.

— Nie, wasza ekscelencjo.

— Może Koniawski? Szkapowski? Szkapowicz? Nie?

I w domu wszyscy na wrywki zaczęli wynajdywać rozmaite nazwiska. Wzięto pod uwagę wszystkie rodzaje, rasy i gatunki końskie. Nie zapomniano o grzywach, kopytach i uprzęży. W domu, w ogrodzie, w czworakach, w kuchni ludzie chodzili z kąta w kąt i drapiąc się w głowę wymyślali rozmaite nazwiska.

Ekonoma co chwila wołano do dworu.

— Tabuński? — pytali go — Kopytkowski?... Ogonowski?...

— Nie... nie — odpowiadał Iwan Jewsiejewicz i podnosząc oczy do góry głośno myślał: Galopowski... Stepowski... Konienko... Kobyłski...

— Tatusiu! — krzyczały dzieci — Trójkowski! Uzdowski!

Cały dwór był podniecony. Zniecierpliwiony, wymęczony generał obiecał pięć rubli temu, kto odgadnie prawdziwe nazwisko. Za Iwanem Jewsiejewiczem zaczęto chodzić całymi gromadami.

— Gniadowski? — pytano go. — Bułański? Kłusakowski?

Wreszcie zapadł wieczór, ekonom nie przypominał sobie nazwiska. Domownicy poszli spać nie wysławszy depeszy.

Generał nie zasnął przez całą noc, chodził z kąta w kąt i jęczał. O trzeciej z rana wyszedł z domu i zastukał do okna ekonoma.

— Może Wałachowicz — zapytał płaczącym głosem.

— Nie, nie Wałachowicz, wasza ekscelencjo — odpowiedział Iwan Jewsiejewicz i westchnął w poczuciu własnej winy.

— A może to nie jest nazwisko końskie, tylko jakieś inne.

Szanuj książkę, 9  
nie zalamuj kartek

— Słowo daję, wasza ekscelencjo, że końskie... Doskonale pamiętam!

— Ech, jakiś ty, bracie, zapominalski!... Wydaje mi się, że to nazwisko jest mi droższe niż wszystko na świecie. Zamęcza mnie ten ząb!

Rano generał znów posłał po doktora.

— Niech wyrywa! — zdecydował. — Nie mogę dłużej tak cierpieć!

Przyjechał doktor i wyrwał bolący ząb. Ból od razu ustąpił i generał uspokoił się. Doktor dokonał zabiegu, otrzymał honorarium, wsiadł do bryczki i pojechał do domu. Za bramą, w polu, spotkał Iwana Jewsiejewicza. Ekonom stał na skraju drogi i w skupieniu patrząc sobie pod nogi o czymś myślał. Sądząc po zmarszczkach bruźdzących mu czoło i po wyrazie oczu, myśli jego były wyteżone i męczące.

— Bułanowski... Siodelkiewicz... — mrucał. — Cugowiak... Konowski...

— Iwanie Jewsiejewiczu — zwrócił się do niego doktor — czy nie mógłbym, mój kochany, kupić od was z pięć ćwierci owsa? Chłopi mi owies sprzedają, ale bardzo marny...

Iwan Jewsiejewicz tępo spojrział na doktora, jakoś nieprzytomnie uśmiechnął się i, nie odpowiedział, ani słowa, machając rękami pobiegł do dworu tak szybko, jakby za nim pędził wściekły pies.

— Przypomniałem sobie, wasza ekscelencjo! — wrzasnął z radości jakimś obcym głosem wpadając

do gabinetu generała. — Przypomniałem sobie, daj Boże zdrowie doktorowi! Owsiany! Owsiany, nazwisko akcyźnika, Owsiany, wasza ekscelencjo! Proszę zadeszować do Owsianego!

— A to widzisz? — odpowiedział generał z pogardą i pokazał mu dwie figi. — Niepotrzebne mi już teraz twoje końskie nazwisko. Niepotrzebne! Niepotrzebne!

Szanuj książkę,  
nie zalamuj kartek

**W**OŁODIA przyjechał! — krzyknął ktoś na dworze.

— Wołodia przyjechał — wrzasnęła Natalia wbiegając do jadalni. — Ach, mój Boże!

Cała rodzina Korolewów, która z godziny na godzinę wyczekiwała swego Wołodii, rzuciła się do okien. Przed gankiem stały szerokie sanie, trójka białych koni buchała kłębami pary. Sanie były puste, gdyż Wołodia stał już w sieni i czerwonymi od mrozu palcami rozwiązywał baszлык\*. Jego uczniowskie palto, czapka, kalosze i włosy na skroniach pokryte były szronem, a od całej postaci, od stóp do głów, bił tak przyjemny, mroźny zapach, że patrząc nań, chciało się przymarznąć i zawołać: — Brrr! Matka i ciotka rzuciły się na niego i zaczęły go ścisnąć i całować. Natalia upadła mu do nóg i ściągała z nich walonki, siostry jęły piszczeć, drzwi skrzypiały i trza-

\* Baszлык — nakrycie głowy w rodzaju kaptura z długimi końcami do zawiązywania.

skały, a ojciec Wołodii wpadł do przedpokoju w kamizelce z nożycami w rękę i wystraszony krzyknął:

— A myśmy cię wczoraj oczekiwali! Dobrze dojechałeś? Szczęśliwie? Ach, mój Boże, dajcie mu się przywitać z ojcem! Czyż nie jestem ojcem?

— Hau, hau! — szczeakał basem Milord, ogromne, czarne psisko, uderzając ogonem o ścianę i meble.

Wszystko złało się w radosny gwar, który trwał ze dwie minuty. Kiedy pierwszy wybuch radości minął, Korolewowie spostrzegli, że prócz Wołodii znajduje się w przedpokoju jeszcze jeden mały człowiek otulony w chusty, szale i baszłyki i pokryty szronem; stał nieruchomo w kącie, w cieniu lisiego futra.

— A kto to, Wołodia? — spytała szeptem matka.

— Ach! — spostrzegł się Wołodia. — To jest... mam zaszczyt przedstawić: mój kolega Czeczewicyn, uczeń drugiej klasy... Przywiozłem go w gościnę do nas.

— Bardzo nam przyjemnie, prosimy serdecznie — rzekł z radością ojciec. — Przepraszam, że jestem po domowemu, bez surduta... Proszę bardzo! Natalio, pomóż panu Czeczewicynowi rozebrać się. Ach, mój Boże, zabierzcie stąd tego psa! Skaranie boskie!

Wkrótce potem Wołodia i jego przyjaciel Czeczewicyn, oszołomieni hałaśliwym przyjęciem i jeszcze zaróżowieni od mrozu, siedzieli przy stole i pili herbatę. Zimowe słońko przenikające przez zamróż, któ-

ry układał się w desenie na szybach, drgało na samowarze i kapąło swe czyste promienie w mosiężnej miseczce do płukania szklanek. W pokoju było ciepło i chłopcy czuli, jak ich przemarznięte ciała łaskocze ciepło i chłód, nie chcąc sobie wzajem ustąpić.

— No i wkrótce Boże Narodzenie! — mówił śpiewnie ojciec skręcając papierosa z ciemnorudego tytoniu. — A tak niedawno było lato i matka płakała żegnając się z tobą... I oto przyjechałeś... Czas szybko, bratku, leci! Ani się obejrzysz, jak starość przyjdzie. Panie Czybisow, niech pan je, proszę się nie krępować. U nas bez ceremonii.

Trzy siostry Wołodii, Katia, Sonia i Masza — najstarsza z nich miała lat jedenaście — siedziały przy stole i nie spuszczały oczu z nowego znajomego. Czeczewicyn był tego samego wieku i wzrostu, co Wołodia, lecz nie tak puciołowaty i biały, ale chudy, śniady i piegowaty. Włosy miał szczeciniaste, oczy — jak szparki, wargi — grube; w ogóle był bardzo brzydki i gdyby nie mundur gimnazjalny, można by, sądząc z powierzchowności, wziąć go za syna kucharki. Był ponury, milczał przez cały czas i ani razu się nie uśmiechnął. Dziewczynki, patrząc na niego, od razu zmiarkowały, że musi to być bardzo mądry i uczony człowiek. Przez cały czas o czymś dumiał i tak był zajęty swymi myślami, że gdy go o coś zapytano, wzdrygał się, potrząsał głową i prosił, aby powtórzono pytanie.

Dziewczynki spostrzegły, że i Wołodia, zwykle wesoły i rozmowny, tym razem mówił mało, wcale się nie uśmiechał i nawet wydawał się jakby niezadowolony, że przyjechał do domu. Podczas herbaty zwrócił się do siostry tylko jeden raz i to z jakimiś dziwnymi słowami. Wskazał palcem na samowar i powiedział:

— A w Kalifornii zamiast herbaty piją dżyn\*.

I on również zajęty był swymi myślami, a sądząc ze spojrzeń, jakie od czasu do czasu zamieniał z przyjaciółmi, myśli ich były podobne. Po herbacie wszyscy poszli do dziecinnego pokoju. Dziewczynki i ojciec usiedli przy stole i zajęli się robotą przerwana przyjazdem chłopców. Robili na choinkę kwiaty i łańcuchy z kolorowego papieru. Było to pociągające i hałaśliwe zajęcie. Każdy świeżo wykonany drobniak dziewczynki witały okrzykami zachwytu, a nawet przestachu, jak gdyby rzecz ta spadła z nieba; ojczulek zachwycał się również, a od czasu do czasu ciskał nożyce o podłogę gniewając się, że są tępe.

Mamusia wpadała do dziecinnego pokoju zakłopotana i zapytywała:

— Kto wziął moje nożyczki? To znowu ty je wziąłeś, Iwanie Mikołajewiczu?

— Boże drogi, nawet nożyczek nie dadzą! — odpowiadał płaczliwym głosem Iwan Mikołajewicz

\* Rodzaj wódki.

i odchyliwszy się na oparcie krzesła przybierał pozę człowieka skrzywdzonego, ale po chwili zachwycił się znowu każdą zabawką.

Podczas swych poprzednich przyjazdów Wołodia również brał udział w przygotowaniach do choinki lub też wybiegał na dwór popatrzeć, jak furman z pastuchem usypują śnieżną górę, lecz teraz ani on, ani Czeczewiczn nie zwrócili żadnej uwagi na różnokolorowy papier i nie byli ani razu w stajni. Usiedli przy oknie i zaczęli sobie coś szeptać, potem otworzyli atlas i oglądali jakąś mapę.

— Z początku do Permu... — mówił cicho Czeczewiczn — stamtąd do Tiumentia... potem Tomsk... potem... potem... na Kamczatkę. Stamtąd Samojedzi przewiożą nas łódkami przez Cieśninę Beringa... Oto i Ameryka... Tutaj jest dużo zwierzyny.

— A Kalifornia? — spytał Wołodia.

— Kalifornia jest niżej... Trzeba tylko dostać się na ląd Ameryki, to Kalifornia już blisko. Pożywie nie zdobywać sobie można polowaniami i grabieżą.

Czeczewiczn stronił cały dzień od dziewczynek i spoglądał na nie spode łba. Po podwieczorku został z nimi sam na sam w domu przez parę minut. Nie wypadało milczeć. Chrząknął więc poważnie, potarł prawą dłońią lewą rękę, spojrział ponuro na Katię i spytał:

— Czy panienka czytała Mayne-Reida?\*

\* Mayne-Reid — czytaj Majn-Rid.

— Nie, nie czytałam... A czy pan się ślizga?

Pochłonięty swymi myślami Czeczewicyn nic na to pytanie nie odpowiedział, wydał tylko policzki i westchnął, jakby mu było bardzo gorąco. Jeszcze raz podniósł wzrok na Katię i zauważył:

— Gdy stado bizonów pędzi przez pampasy, ziemia drży, a wówczas mustangi wierzgają i rżą z przerażenia. — Czeczewicyn uśmiechnął się smutnie, po czym dodał: — Indianie także napadają na pociągi. Ale najgorsze to moskity i termyty.

— A co to jest?

— To coś jakby mrówki, tylko skrzydlate. Bardzo mocno kęsają. Czy pani wie, kto ja jestem?

— Pan Czeczewicyn.

— Nie, jestem Montigomo Szpon Jastrzębi, wódz niezwycięzonych.

Zupełnie niezrozumiałe słowa Czeczewicyna, jego stałe ciche rozmowy z Wołodią i okoliczność, że Wołodia wcale się nie bawi z siostrami, lecz wciąż o czymś rozmyśla — wszystko to wydawało się dziwne i zagadkowe. Toteż obie starsze dziewczynki, Kattia i Sonia, zaczęły pilnie śledzić chłopców. Wieczorem, gdy obydwaj kładli się spać, dziewczynki podkrały się pode drzwi i podsłuchały ich rozmowę. O, czegoż się dowiedziały! Chłopcy chcieli uciec gdzieś do Ameryki w celu poszukiwania złota; mieli już wszystko gotowe: pistolet, dwa noże, suchary, szkło powiększające do rozniecania ognia, kompas

i cztery ruble. Dowiedziały się, że będą musieli przejść pieszo kilka tysięcy wiorst, walczyć po drodze z tygrysami, potem zdobywać złoto i kość słoniową, zabijać wrogów, brać udział w wyprawach korsarskich, pić dżyn, a w końcu pojąć za żonę jakąś piękność i uprawiać plantacje. Wołodia i Czeczewicyn mówili z uniesieniem i wzajemnie sobie przerywali. Przy tym Czeczewicyn nazywał siebie „Montigomo, Jastrzębi Szpon”, a Wołodię — „mój bladolicy brat”.

— Tylko nie mów nic mamie — powiedziała Katia Soni idąc spać. — Włodek przywiezie nam z Ameryki złoto i słoniową kość, a jeżeli powiesz mamie, to go nie puszcza.

W przeddzień Wigilii Czeczewicyn cały dzień studiował mapę Azji i coś zapisywał. Wołodia smętny, napuchnięty, jakby go ukąsiła pszczoła, ponuro chodził po pokojach i nic nie jadł. Raz nawet w dziecinym pokoju zatrzymał się przed ikoną, przeżegnał się i powiedział:

— Boże, wybacznij mi grzesznemu! Boże, zachowaj moją biedną nieszczęśliwą mamę!

Przed wieczorem rozplakał się. Idąc spać długo ścisnął ojca, matkę i siostry. Katia i Sonia wiedziały, co to ma znaczyć, a tylko najmłodsza, Masza, nic nie rozumiała, absolutnie nic, i tylko, gdy spoglądała na Czeczewicyna, zamyślała się i mówiła z westchnieniem:

— Gdy jest post, niania mówi, że trzeba jeść groch i soczewicę.

Wczesnym rankiem w dzień wigilijny Katia i Sonia cicho wstały i poszły zobaczyć, jak chłopcy będą uciekali do Ameryki. Podkraǳły się pod drzwi.

— Więc nie pojedziesz? — z gniewem pytał Czczewiczn. — Mów, nie pojedziesz?

— Boże! — cicho szlochał Wołodia. — Jakżeż ja pojedę? Żal mi mamy.

— Bładolicy mój bracie, proszę cię, jedźmy! Zapewniałeś mnie przecież, że pojedziesz, sam mnie namówiłeś, a gdy przyszło do jazdy — stchórzyłeś.

— Ja... ja nie stchórzyłem... ale mi.. żal mamy.

— Powiedz: pojedziesz czy nie?

— Pojadę, tylko... tylko zaczekaj. Chciałbym po-  
być w domu.

— W takim razie jadę sam! — zdecydował Czczewiczn. — I obejdę się bez ciebie. A chciałeś walczyć, polować na tygrysy! Jeżeli tak, to oddaj mi moje kapiszony!

Wołodia zapłakał tak gorzko, że siostry nie wytrzymały i również cicho zapłakały. Nastąpiło milczenie.

— Więc nie pojedziesz? — jeszcze raz pytał Czczewiczn.

— Po... pojedę.

— To ubieraj się.

Szanuj książkę,  
nie załamuj kątów

I Czeczewiczn, żeby zachęcić Wołodę, wychwalał Amerykę, ryczał jak tygrys, naśladował parostatek, kłął, obiecywał oddać Wołodii całą kość słoniową oraz wszystkie skóry lwie i tygrysie.

I ten chudy, smagły chłopak o szczeciniastych włosach i piegowatej twarzy wydał się dziewczynkom kimś osobliwym, niezwykłym. To był bohater, stanowczy i nieustraszony człowiek, a ryczał tak że stojąc za drzwiami można było rzeczywiście pomyśleć, że to tygrys albo lew.

Kiedy dziewczynki wróciły do swego pokoju i zaczęły się ubierać, Katia z oczami pełnymi łez powiedziała.

— Ach, jak ja się boję!

Aż do drugiej godziny, do obiadu był spokój, ale podczas obiadu spostrzeżono nagle, że chłopców nie ma w domu. Posłano do czeladnej, do stajni, do oficyny rządcy — nigdzie ich nie było. Posłano na wieś, lecz i tam ich nie znaleziono. Herbatę też pito bez chłopców, a kiedy siadano do kolacji, mamusia bardzo się niepokoiła i nawet płakała. A w nocy znów urządzono wyprawę na wieś i szukano nad rzeką z latarniami. Boże, jakie się zrobiło zamieszanie!

Na drugi dzień przyjechał urzędnik i pisał w jadalni. Mama płakała.

Lecz oto przed gankiem zatrzymały się sanie, a z trójki białych koni buchała para.

— Wołodia przyjechał! — krzyknął ktoś na dworze.

— Wołodia przyjechał! — zaczęła pisać Natalia wpadając do stołowego.

I Milord zaszczekał basem: „Hau! hau!” Okazało się, że chłopców zatrzymano w mieście w hali targowej (chodzili tam i pytali, gdzie można dostać prochu). Wołodia, gdy tylko wszedł do pokoju, zaszlochał i rzucił się matce na szyję. Dziewczynki z dreszczem przerażenia myślały, co teraz będzie. Słyszały, jak ojciec zaprowadził Wołodię i Czeczewicy na do swego gabinetu i długo z nimi rozmawiał; mamusia też coś mówiła i płakała.

— Czy tak wolno? — przekonywał ojciec. — Dowiedzą się, nie daj Boże, w gimnazjum i wyrzucą was. Wstyd, panie Czeczewicyn! Nieładnie! Pan to wymyślił, więc spodziewam się, że rodzice ukarzą pana. Czy tak się robi? Gdzie nocowaliście?

— Na dworcu! — z dumą odpowiedział Czeczewicyn.

Wołodia potem leżał w łóżku i przykładano mu do głowy ręcznik zmoczony w occie. Posłano gdzieś telegram, a następnego dnia przyjechała matka Czeczewicy i zabrała syna.

Kiedy odjeżdżał, miał twarz surową, wyniosłą i żegnając się z dziewczynkami nie rzekł ani słowa; wziął tylko zeszyt Kati i napisał w nim na pamiątkę: „Montigomo Szpon Jastrzębi”.

**B**YŁA dwunasta w nocy.

Mitia Kułdarow, podniecony i rozczochrany wpadł do mieszkania rodziców i zaczął szybko chodzić po wszystkich pokojach. Rodzice kładli się spać. Siostra leżała w łóżku i kończyła czytanie ostatniej stronicy powieści. Bracia uczniowie już spali.

— Skąd wracasz? — zdziwili się rodzice. — Co ci się stało?

— Och! Nie pytajcie! Nigdy się tego nie spodziewałem! Nie, nie oczekiwałem tego nigdy! To... po prostu coś nieprawdopodobnego!

Mitia wybuchnął śmiechem i usiadł na fotelu, gdyż nie mógł ze wzruszenia utrzymać się na nogach.

— Coś nieprawdopodobnego! Nie wyobrażacie sobie nawet! Popatrzcie!

Siostra wyskoczyła z łóżka i narzuciwszy na siebie koldrę podeszła do brata. Uczniowie obudzili się.

— Co się z tobą dzieje? — Jak ty wyglądasz!

— To z radości, mamusiu! Przecież teraz zna mnie cała Rosja! Cała! Dawniej tylko wy wiedzieliście, że na tym świecie istnieje asesor kolegialny\*, Dmitrij Kułdarow, a teraz o tym wie cała Rosja. O Boże!

Mitia zerwał się z fotela, przebiegł przez wszystkie pokoje i znowu usiadł.

— Co się stało? Mów rozsądnie!

— Żyjecie jak dzikie zwierzęta, gazet nie czytujecie, nie zwracacie zupełnie uwagi na opinię publiczną, a w gazetach tyle jest ciekawych wiadomości! Gdy się coś zdarzy, zaraz o wszystkim napiszą, nic się nie ukryje! Jakiż ja jestem szczęśliwy! O Boże! Przecież w gazetach piszą tylko o ludziach sławnych, a tu naraz napisali o mnie!

— Co ty mówisz! Gdzie?

Ojciec zbladł. Matka spojrzała na święte obrazy i przeżegnała się. Uczniowie zerwali się z łóżek i w krótkich nocnych koszulach podbiegli do starszego brata.

— Tak! O mnie napisali! Teraz o mnie wie cała Rosja. Mamusiu, proszę schować ten numer na pamiętkę! Będziemy go czytać od czasu do czasu. Popatrzcie!

Mitia wyjął z kieszeni numer gazety, podał ją

\* Asesor kolegialny — urzędnik państwowy w carskiej Rosji średniego stopnia.

ojcu i wskazał palcem miejsce zakreślone granatowym ołówkiem.

— Proszę przeczytać!

Ojciec włożył okulary.

— Czytajcież nareszcie!

Matka spojrzała na obrazy i przeżegnała się. Ojciec kaszlnął i zaczął:

„... dnia 29 grudnia o jedenastej wieczorem asesor kolegialny, Dmitrij Kułdarow...

— Czy słyszycie? — Dalej!

„... asesor kolegialny, Dmitrij Kułdarow, wychodząc z winiarni na Małej Bronnej z domu Kozichina i będąc w stanie nietrzeźwym...

— To ja z Semionem Piotrowiczem... Opisali wszystko szczegółowo! Dalej, dalej! Słuchajcie!

„... i będąc w stanie nietrzeźwym pośliznął się i wpadł pod konia, będącego własnością dorożkarza, chłopca ze wsi Durikina w juchnowskim powiecie, Iwana Drotowa. Przestraszony koń przestąpił przez Kułdarowa i przeciągnął po nim sanie z siedzącym w nich moskiewskim kupcem II gildii\* Stepanem Łukowym, po czym popędził ulicą, gdzie został zatrzymany przez dozorców. Kułdarowa, zrazu nieprzytomnego, odprowadzono do komisariatu policji,

\* Gildie — grupy, na które dzielono kupiectwo w carskiej Rosji, zależnie od wielkości i rodzaju przedsiębiorstwa. Kupiec II gildii — kupiec posiadający przedsiębiorstwo handlowe średniej wielkości.

gdzie zbadał go lekarz. Uderzenie, jakie otrzymał w tył głowy...

— To dyszłem, tatusiu! Dalej! Czytaj dalej!

„... jakie otrzymał w tył głowy, należy uważać za lekkie. Sporządzono protokół wypadku. Poszkodowanemu udzielono pomocy lekarskiej...”

— Kazali robić okłady z zimnej wody. Przeczytaliście?! No? Właśnie, właśnie! Teraz rozeszło się to po całej Rosji! Proszę o gazetę!

Mitia chwycił gazetę, złożył ją i wsunął do kieszeni.

— Pobiegę i pokażę Makarowym... Trzeba też pokazać Iwanickim, Natalii Iwanownie, Anisimowi Wasiljewiczowi... Już biegnę! No, bywajcie!

Mitia włożył czapkę z bączkiem\* i triumfujący, rozradowany wybiegł na ulicę.

Szanuj książkę,  
nie załamuj kartek

\* Czapka z bączkiem — czapka urzędnicza z blaszanym znaczkiem.

## BEZBRONNA ISTOTA

**C**HOĆ atak podagry\* w nocy był niezmiernie silny, choć nerwy później miał roztrzęsione, jednakże Kistunow rano udał się do biura i o zwykłej godzinie zaczął przyjmować interesantów i klientów banku. Wyraz twarzy miał wyczerpany i zmęczony, mówił z trudem, ledwo oddychając, jak umierający.

— Czym mogę służyć? — zwrócił się do kobiety w przedpotopowej salopie\*\*, bardzo podobnej z tyłu do wielkiego żuka.

— Raczy pan zwrócić uwagę, wasza wysokość — zaczęła prędko trajkotać petentka\*\*\* — mój mąż, asesor kolegialny Szczukin, chorował pięć miesięcy i gdy, z przeproszeniem pańskim, leżał w domu i leczył się, bez żadnej przyczyny dano mu dymisję\*\*\*\*, a kiedy przyszedłam po pensję to, proszę jaśnie wiel-

\* Podagra — artretyczne bóle stawu wielkiego palca u nogi.

\*\* Salopa — obszerny ciepły płaszcz.

\*\*\* Petentka — osoba zgłaszająca się z jakąś prośbą.

\*\*\*\* Dymisja — wypowiedzenie posady.

możnego, potracili mu z pensji dwadzieścia cztery ruble trzydzieści sześć kopiejek. — „Za co?” — pytam. — „A bo on pożyczył pieniądze z kasy wzajemnej pomocy i inni urzędnicy za niego poręczyli”. — Jakżeż tak?... Czyż on mógł pożyczyć bez mojego pozwolenia?... To niemożliwe, wasza wysokość. Cóż to znaczy?... Jestem biedną kobietą i żyję z lokatorów... Jestem słaba, bezbronna... Wszyscy mnie krzywdzą i od nikogo nie słyszę dobrego słowa.

Petentka zaczęła mrugać oczami i pogmerzała w salopie w poszukiwaniu chustki. Kistunow wziął od niej podanie i zaczął je czytać.

— Cóż to znaczy, proszę pani? — wzruszył ramionami. — Nic nie rozumiem! Widocznie łaskawa pani źle trafiła. Prośba pani zupełnie nas nie dotyczy. Proszę się zwrócić do instytucji, w której mąż pani pracował.

— Ach, drogi panie, byłam już w pięciu miejscach i nigdzie nie chciano nawet przyjąć podania! — odpowiedziała Szczukina. — Już głowę straciłam nie wiedząc co robić, ale zięć mój, Borys Matwiejewicz, niech mu Bóg da zdrowie, poradził mi udać się do pana: „Niech się mamusia zwróci do pana Kistunowa — powiedział, — to jest człowiek wpływowy, może dla mamusi wszystko zrobić! Proszę mi dopomóc, wasza wysokość.

— Nic nie możemy dla pani zrobić. Niechże pani zrozumie: mąż pani, o ile się orientuję, pracował

w wydziale wojskowo-lekarskim, a nasza instytucja jest zupełnie prywatna, handlowa: to jest bank. Czyż pani tego nie rozumie!

Kistunow jeszcze raz wzruszył ramionami i zwrócił się do następnego interesanta, oficera, który miał spuchnięty policzek.

— Wasza wysokość! — żalonym głosem zaczęła znów Szczukina. — Mąż mój był doprawdy chory i mam na to świadectwo lekarskie! Oto jest, proszę spojrzeć!

— Doskonale, wierzę pani — odparł Kistunow zirytowany — ale powtarzam: to nas nie dotyczy. Dziwna i nawet śmieszna historia! Czyż mąż pani nie wie, do kogo trzeba się zwrócić?

— On, wasza wysokość, o niczym nie wie i tylko powtarza ciągle w kółko: „Nie twoja sprawa, wynoś się” — i tyle... a czyjaż to sprawa?... Przecież siedzi na moim karku! Na moim!

Kistunow znowu zwrócił się do Szczukinej i począł jej tłumaczyć, jaka jest różnica między wydziałem wojskowo-lekarskim a prywatnym bankiem. Słuchała uważnie, potakiwała głową, w końcu rzekła:

— Tak, tak, tak... rozumiem, proszę pana. W takim razie niech wasza wielmożność każe mi wydać chociażby piętnaście rubli. Gotowa jestem wziąć nie wszystko od razu...

— Uf... — westchnął ciężko Kistunow, odrzuciwszy głowę w tył. — Nie można pani niczego wytłumaczyć! Niechże pani zrozumie nareszcie, że zwracanie się do nas z taką prośbą jest równie bezsensowne jak na przykład składanie podań o rozwód w aptece albo w mennicy. Nie dopłacili pani, to prawda, ale co nas to obchodzi?

— Jaśnie wielmożny panie, przez całe życie będę się za pana modliła, zlituj się pan nad biedną sierotą! — zaczęła płakać Szczukina. — Jestem kobietą bezsilną i bezbronną... Ledwo żyję... Z lokatorami po sądach się włóczę, o męża się troszczę i roboty gospodarskie spełniam, a tu jeszcze akurat poszczę i zieć bez posady... Tyle tylko, że jem i piję, a i to ledwo na nogach się trzymam... Całą noc nie spałam...

Kistunow poczuł bicie serca. Zrobił minę męczennika, przyłożył rękę do piersi i zaczął jeszcze raz to samo tłumaczyć Szczukinej, ale głos mu się załamał...

— Nie, przepraszam, nie mam sił z panią mówić — powiedział i machnął ręką. — Aż mi się w głowie kręci! Pani i nam przeszkadza, i sama czas traci. Uff... Aleksy Mikołajewiczu — zwrócił się do jednego z urzędników — niech pan, z łaski swojej, postara się tę sprawę wytłumaczyć pani Szczukinej.

Kistunow pozalałwiał wszystkich interesantów, wrócił do swego gabinetu, podpisał z dziesięć doku-

mentów, a Aleksy Mikołajewicz wciąż jeszcze zajęty był Szczukiną. Siedząc u siebie w gabinecie Kistunow długo słyszał dwa głosy: monotony, powściągliwy bas Aleksego Mikołajewicza i płaczący, piskliwy głos Szczukinej.

— Jestem kobietą bezbronną, słabą, jestem kobietą chorą — mówiła Szczukina — może na pozór jestem krzepka, ale jeżeli mnie zbadać, to nie mam ani jednej żyłki zdrowej, ledwo na nogach się trzymam i apetyt straciłam... Nawet kawę dziś piłam bez żadnej przyjemności.

Aleksy Mikołajewicz długo tłumaczył jej różnicę między instytucjami i skomplikowany system składania podań. Wkrótce jednak zmęczył się i zastąpił go buchalter.

— Wyjątkowo nieznośne babsko — oburzał się Kistunow, nerwowo wyłamując sobie palce i co chwila podchodząc do karafki z wodą. — Jakaś idiotka, zakuty łeb! Mnie zamęczyła, a teraz ich gnębi, wstrętna! Uff, jak mi serce bije!

W pół godziny później zadzwonił. Wszedł Aleksy Mikołajewicz.

— No, cóż tam? — spytał szef słabo.

— W żaden sposób nie możemy jej wytłumaczyć! Jesteśmy już wprost wyczerpani. My swoje, ona swoje...

— Ja... ja nie mogę znieść jej głosu... Chory jestem, nie wytrzymam...

— Zawołam szwajcara, niech ją wyrzuci.

— Nie, nie! — zląkł się Kistunow. — Zacznie wrzeszczeć, a w tym domu mieszka wielu lokatorów i diabli wiedzą, co o nas pomyślą... Niechże się pan postara, mój kochany, jakoś jej wyjaśnić.

Po chwili znowu zahuczał głos Aleksego Mikołajewicza. Po kwadransie zamiast jego basu zabręczał donośny tenorek buchaltera.

— Wy-ją-t-kowo nieznośna baba! — oburzał się Kistunow, nerwowo wzruszając ramionami. — Głupia jak gęś, niech ją diabli! Zdaje się, że znowu wraca moja podagra... Znowu migrena...\*

W sąsiednim pokoju Aleksy Mikołajewicz, zupełnie wreszcie wyczerpany, postukał palcem w stół, potem zaś w swoje czoło:

— Słowem, pani ma na karku nie głowę, lecz ot co...

— No, proszę, proszę — obraziła się stara. — Swojej żonie tak postukaj!... Ananas!... Ręce przy sobie trzymaj!

Patrząc na nią z nienawiścią i wściekłością, jakby ją chciał połknąć, Aleksy Mikołajewicz wyrzekł cichym, przytłumionym głosem:

— Wynoś się stąd!

— Co-o-o? — wrzasnęła nagle Szczukina. — Jak pan śmie?! Jestem słabą, bezbronną kobietą, nie po-

\* migrena — silny ból głowy.

zwolę siebie obrazić! Mój mąż jest kolegialnym asesorem! Łobuzie jeden! Jak pójdę do adwokata na skargę, to po tobie śladu nie zostanie! Trzech lokatorów wpakowałam do kozy, a za twoje zuchwałe słowa będziesz się jeszcze u nóg moich tarzał! Ja do waszego generała pójdę! Wasza wysokość! Wasza wysokość!...

— Wynoś się stąd, pijawko! — syknął Aleksy Mikołajewicz.

Kistunow otworzył drzwi i wyjrzał do kancelarii.

— Co się stało? — spytał płaczliwym głosem.

Szczukina, czerwona jak rak, stała pośrodku pokoju i gestykulowała przewracając oczami. Opodal urzędnicy banku, również zmordowani i czerwoni ze zmęczenia, spoglądali na siebie zmieszani.

— Wasza wielmożność! — rzuciła się ku Kistunowowi Szczukina. — Oto ten, ten tutaj — wskazała na Aleksego Mikołajewicza — postukał palcem po stole, a potem w czoło!... Pan mu kazał sprawę rozpatrzyć, a on się wyśmiewa! Mąż mój jest kolegialnym asesorem, a ja jestem majorówna!

— Dobrze, proszę pani — jęknął Kistunow — ja rozpatrzę... postaram się... Niech pani przyjdzie... później!

— A kiedy mi wypłacą, wasza wysokość? Mnie pieniądze są dziś potrzebne!

Kistunow drżącą ręką potarł czoło, westchnął i znów jął tłumaczyć rzecz całą od początku.

— Łaskawa pani, ja już wyjaśniłem. Tu jest bank, instytucja prywatna, handlowa... Czego pani od nas chce? I niech pani nareszcie zrozumie, że pani nam przeszkadza.

Szczukina wysłuchała i westchnęła.

— Tak, tak — potakiwała. — Ale niech pan będzie łaskaw! Całe życie będę się modliła za waszą wielmożność, proszę być dla mnie wyrozumiałym jak ojciec rodzony. Jeżeli świadectwa lekarskie nie wystarczą, to mogę przedstawić zaświadczenie z policji. Niech pan każe wypłacić mi pieniądze!

Kistunowowi świat zakołował w oczach. Wytchnął powietrze, jakie miał w płucach, i bez sił upadł na krzesło.

— Jakiej sumy pani sobie życzy? — zapytał słabym głosem.

— Dwadzieścia cztery ruble i trzydzieści sześć kopiejek.

Kistunow wyjął z kieszeni pugilares, odliczył dwadzieścia pięć rubli i podał Szczukinej.

— Bierz pani i... i wyjdź!

Szczukina zawinęła pieniądze w chustkę, schowała je i ze słodkim, delikatnym, a nawet zalotnym uśmiechem spytała:

— Wasza wysokość, a czy nie mógłby mój mąż wrócić na posadę?

— Wyjeżdżam... jestem chory... — powiedział Kistunow mdlejącym głosem. — Mam straszne bicie serca...

Po jego odejściu Aleksy Mikołajewicz posłał woźnego po krople laurowe i wszyscy urzędnicy, zażywszy po dwadzieścia kropli, zabrali się do dalszej pracy; Szczukina zaś siedziała jeszcze około dwóch godzin w przedpokoju i rozmawiała z odźwiernym, oczekując powrotu Kistunowa.

Przyszła także i następnego dnia.

Biblioteka Publiczna  
Miejskiej Rady Narodowej  
w Zamościu

S P I S T R E Ś C I

Końskie nazwisko . . . . .	5
Chłopcy . . . . .	12
Radość . . . . .	22
Bezbronna istota . . . . .	26

Szanuj książkę,  
nie zalamaj jej.

364

Wm. B. E. Smith  
B. Smith

Szanuj książkę  
nie zalamuj kartek

364



Cena 70 zł.